

Fragment napisanej przed rokiem powieści - około dwudziestu stron. Mam nadzieję, że długość was nie odstraszy. Proszę o komentarze i dziękuję za możliwość zamieszczenia :-)

1. Asumpty rozstania.

Nie tylko Rajmund był weteranem ostatniej wojny. Także i Kazimierz, choć z nieco mniejszym zaangażowaniem i bez wewnętrznych bodźców, walczył na zachodnim froncie. Tam, gdzie w okopach ginęły dziesiątki, a ich ciała użyźniały spaloną ziemię, przyszło im obu wieść plugawy żywot żołnierza. Bilans strat nie liczył się jednakże w obliczu realnych szans na zdobycie kolejnego metra spornej ziemi i tym samym na przesunięcie okopów o taką też odległość. Ogień krzyżowy wystrzeliwany z wszelkich rodzajów broni rozświecał ciemne noce, jak i zapylone poranki, a nasi dwaj żołnierze przyglądali się tej iluminacji z podobnym nastawieniem beznamiętnego widza. Ładowali swe Enfieldy i mrużąc jedno oko, przykładali lufę do drugiego, by wykorzystać chwilę, kiedy to postać wroga omyłkowo wychynie zza osłony ziemnego okopu i przestrzelić nieszczęśnikowi głowę.

*

Wprawdzie Kazimierz nie okupił swego męstwa stratą na miarę amputowanej ręki, wytrzymał jednak na polu walki nieporównywalnie dłużej od swego starszego kompana broni. Wtedy, gdy rażony odłamkiem armatniej kuli Rajmund powoli wykrwawiał się na polowym łóżku, młodszy żołnierz szykował się do kolejnego już dnia obrony Sommy. Po tej bitwie przyszły następne wojenne działania: m.in. ofensywa Roberta Nivella i walka na wzgórzu Messines, które także nie miały złamać jego ducha. Powrót Kazimierza do domu nastąpił z bardziej błahego powodu, lecz najpierw powiedzmy sobie, coś takiego pchnęło go na wojenny front.

Zatroskani rodzice nie pozwolili mu uczestniczyć w jakichkolwiek bitwach. W rozterce o jego życie, najchętniej zamknęliby bitnego chłopaka w schowku pod schodami, byle odgrodzić go od najmniejszego nawet zagrożenia. W takim życiu, przepędzonym między miejską kamienicą, a wiejskim pałacykiem, pod czujnym okiem obojga rodziców i licznej służby dorastał Kazimierz do podjęcia decyzji, jaka miała już na zawsze zmienić jego życie. Znając zapatrywania matki i ojca na sprawę wojny (w końcu słuchał licznych dygresji dotyczących działań militarnych w Afryce), postanowił nie informować swych rodziców o podjętej przez siebie decyzji. Opuszczając ziemię Królestwa Polskiego powiedział im jedynie o tym, że wyjeżdża na wieś (akurat wtedy oboje byli w mieście i z powodu choroby dziadka, ani matka, ani ojciec nie zamierzali wybrać się w tę podróż razem z nim). Zarzucając mu kłamstwo, rodzice słyszeli jedynie, że nie skłamał w tamtej chwili, raczej nagiął rzeczywistość do własnych potrzeb albo zataił część prawdy. Jak zwał tak zwał, ważne, że nie poczuwał się do odpowiedzialności. Zresztą, przecież był na wsi! A czy to ważne, że spędził w pałacyku rodziców tylko jedną noc, po czym wyekwipowany, na wypoczętym i odkarmionym koniu pognął ku zachodnim rubieżom ich ziem, by stamtąd ruszyć przez niszczoną wojenną zawieruchą Europę ku podbijanej przez Niemcy Francji.

*

Samej wojny Kazimierz nigdy nie wspominał jakoś szczególnie. Mówił o kilku mniejszych potyczkach, wspominał wojenne ofensywy i marginalnie zaznaczał także niewygody okopowego życia. Wszystkie te wywody ograniczały się jednak do niewielkich dygresji, raczej mało znaczących wtrąceń w trakcie jakiejś większej rozmowy. Nigdy nie dorównał Rajmundowi w jego zafascynowaniu tą wojną, co więcej, on unikał zatapiania się w bolesnych wspomnieniach. To, co przeżył we Francji, a czego ślady, nie tylko psychiczne lecz także fizyczne, miał nosić już do śmierci, pozostawił samemu sobie. Tylko raz dał upust swej pamięci. W jakiś deszczowy dzień, przy płonącym kominku, z dala od wrzasków i krzyków szalonej małżonki, ćmiąc długiego papierosa opowiedział synowi pewną okopową anegdotę, która o dziwo miała pozostać w głowie małego już na zawsze.

*

Historia dotyczyła młodzieńca - niemalże dziecka - rzuconego przez burzliwe koleje losu na spływające krwią pole bitewne. Ta drobna istota, licząca już lat niemalże siedemnaście, nie wyglądała na swój wiek. Wychudzona sylwetka i zapadnięta pierś atakowana raz za razem przeciągłymi seriami koklusz dawały wrażenie dziecinności. Szarawa tarka zarostu i siwe pasma wplecione w niesforne kosmyki dość skutecznie licowały jednak z cechami dziecka. Kazimierz nie miał okazji oglądać chłopaka w jakichś sprzyjających okolicznościach. Nie można przecież nazwać sprzyjającą chwilą, kiedy to klęczy się nad umierającą osobą, kiedy patrzy się na jej wnętrze, na krew zasychającą w spiekocie zapylonego dnia. Seria z Mausera przebiła jelita, a liczne naboje utkwione w splotach długiego przewodu pokarmowego doprowadziły do błyskawicznego krwotoku. Burgund spływającej krwi z łatwością pokonał poszarpaną tamę wierzchniego odzienia i rozlał się po francuskiej ziemi (przynajmniej tamtego dnia wciąż należała do Francuzów), wielką kałużą. Kazimierz przystąpił do ratowania drżącego ciała sprawnie i szybko. Jednak nawet natychmiastowa akcja ratownicza nie mogła zespolić rozerwanych wnętrzności i przywrócić zatrzymanej perystaltyki. Mimo ran, mały mężczyzna z krwawymi wybroczynami przy ustach zasypiał wolno. Płuca, które już niedługo miano pozbawić życiodajnego tlenu, charczeniem i ryczącym kaszlem wyznaczały ostatnie sekundy swej aktywności. Kazimierz, z mundurem zbrukany krwią, przyciskając odzienie do otwartej rany wysłuchiwał owego rżenia z kroplami łez w kącikach oczu. I odpowiadał na pojedyncze słowa szeptane przez młodego mężczyznę w te nieliczne sekundy, gdy koklusz odpuszczał.

*

- Konika ... matkę ... łakę ... ! – szeptało dziecko przez życie zmuszone do tego, by dojrzeć zbyt szybko. A biedny żołnierz, który stał dwa kroki od młodzieńca, gdy Mausner wypuścił te niefortunne naboje, płakał z własnej bezsilności. Nie mógł bowiem spełnić żadnej z jego szeptanych prośb. I choć starał się znaleźć jakieś substytuty dla konika, matki i łączki, w szarym świecie okopów nie było nawet cienia nadziei na wyszperanie czegoś poza zimną ziemią, czy kwaśnym dymem. W końcu oczy chłopca, bólem rozwarłe jedynie do połowy, zeszywniały. Rozbiegane źrenice instynktownie wyglądające upragnionych obrazów ugrzęzły w jednym miejscu, tak jakby wypatrywanie świszczącej kuli na zaścielonym mgłą niebie było ich odwiecznym priorytetem. Kazimierz usłyszał chrapliwy odgłos, tak różny od bolesnego rżenia i okropnego kaszlu i już wiedział, że dzielny miłośnik koni, z wyschniętą piersią i kokluszem trawiącym wnętrzności w stopniu porównywalnym do karabinowych naboń, przestał się już martwić ziemskimi celami. Chłopiec, którego imię nie miało już nigdy więcej zostać wypowiedziane przybrał na nowo cechy spokojnego dziecka. Zakryta kurtką rana, uspokojona pierś i krew starta przez żołnierza na nowo przywróciły mu młodzieńczy wygląd. Dla niego wojna już się skończyła. I chociaż Kazimierz niedługo także miał opuścić bitewny zgłęb, koniec zgryzot nie miał nadejść tak szybko. Trzy niespełnione prośby, te wyszeptane przez umierającego życzenia, wryły się w pamięć młodego żołnierza na tyle mocno, by zmusić go do spełniania przez całe swe życie kolejnych, nawet najbardziej głupich zachcianek przedłożonych mu przez egoistyczną rodzinę. Kazimierz widział umierającego chłopca w twarzach wszystkich tych, którzy prosili go o nawet najdrobniejszą przysługę. I wypełniał je najlepiej jak tylko potrafił, starając się tym samym zyskać wybaczenie własnego sumienia za dawną bezsilność.

*

Owa słabość do ulegania czyimś pragnieniom przyczyniła się do rozpadu małżeńskiego pożycia, na równi z depresyjnymi utyskiwaniami małżonki Kazimierza. Rodzice mężczyzny, ci konserwatywni ludzie, zapatrujący się dość negatywnie na wojenny heroizm, posiadli jedną wspaniałą umiejętność, której zdawało się brakować w związku ich syna i synowej. A mianowicie, z biegiem lat przyswoili sobie dar szczerzej i wyważonej rozmowy; dla Cecylii i Kazimierza zwykła wymiana zdań, dotycząca takiej choćby błażostki jak pogoda, nigdy nie była ani szczerą, ani tym bardziej wyważoną.

Mój ojciec był niemniej tajemniczy niż jego żona, Cecylia. W ich podejściu do przeszłości, do własnych wspomnień, istniała jednak bardzo znacząca różnica. Taka mianowicie, że matka sama lubiła prowokować moją ciekawość. Podejrzany koncert był najlepszym tego przykładem. Opowiedziała mi go z niezwykłą, jak na nią, cierpliwością. Nie szczędziła ani czasu, ani ochoty. Mówiąc wolno i wyraźnie, robiąc pauzy po dłuższych fragmentach starała się, by ta szczegółowa i dokładna opowieść była dla mnie jak najbardziej zrozumiała. To zaangażowanie przyświecające jej przez czas wywodu miało jednak szybko. Następnym wydarzeń, logicznego ciągu owej historii jakoś nie chciała ujawnić. O to, co zdarzyło się między organową mentorką, a kuśtykającą dziewczynką musiałem zapytać osobę trzecią. Moja matka odkryła bowiem, że jej jedynak jest strasznie irytującym stworzeniem. Na każdą kolejną oznakę dociekliwości, prezentowaną przeze mnie w chwili jej milczenia, przybierała coraz to nową maskę. Najpierw wyglądała na zmęczoną, później na podenerwowaną, by w końcu dać upust swojej irytacji głuchymi uderzeniami niewielkiej rączki o moje pośladki. Jakże modliłem się wtedy, by i jej ręka, na podobieństwo chromej nogi, także zaniemogła! Plując sobie w brodę, że znowu dałem się wciągnąć Cecylii w swoistego rodzaju grę, której nieodmiennym zwieńczeniem było bolesne manto, przełykałem głośno ślinę, szepcząc pod nosem słowa okrutnej modlitwy.

Kazimierz nie był takim prowokatorem. Raz przyjętej reguły trzymał się z istic wojskową stanowczością. Tylko ta jedna opowieść, wspomnienie dotyczące umierającego młodzieńca była odstępstwem od nakreślonej przezeń zasady. Chyba wstydził się tego, że rozmawiał ze mną na takie tematy. Każde bowiem późniejsze pytanie skierowane do ojca, a dotyczące tamtej historii, kwitował raz za razem kwaśnym uśmiechem i pytaniem: "Nie musisz się czegoś pouczyć?". Wkrótce przyjąłem te słowa jako okaz braku zainteresowania mną i moimi sprawami. Ojciec, a było to dla niego tak samo charakterystyczne jak kreatywne spełnianie czyichś zachcianek, nie poczuwał się do odpowiedzialności za losy swych bliskich. Jego rodzice, a moi dziadkowie, nie tylko nie nauczyli go prowadzić z kobietami rozważnego dialogu, lecz co więcej, bez powodzenia wpajali w niego tak pożądaną w każdej rodzinie, troskę o najbliższych. Co ciekawe, z tego względu nie miał jakichś wielkich wyrzutów sumienia. Cóż ja jednak mogę tak naprawdę wiedzieć o Kazimierzu? Nigdy przecież nie rozmawiał ze mną dłużej niż piętnaście minut, a i w te rzadkie chwile naszych spotkań nieodmiennym, towarzyszem tych męskich pogawędek był tytoniowy dym otaczający całunem jego wysoką i szczupłą postać.

*

Z fizycznych mankamentów jakimi napiętnowała go Francja wiedziałem jedynie o obszarpanym uchu szczelnie zakrytym długim pasmem włosów, których ojciec nigdy nie pozwalał sobie skrócić. Zniekształcona małżowina była dla mnie zauważalna jedynie wtedy, gdy Kazimierz pochylając się nad swoim małym synkiem, zakładał niesforne pasmo za ten połowiczny fałd skórny. Z biegiem lat, w miarę jak rozszalały kościec wyniósł mnie wysoko w górę, coraz rzadziej pochylał się nade mną i tym samym, coraz rzadziej dane było mi oglądać ową pamiątkę wojennego heroizmu. Z jakiego powodu nabył ową szpecącą ranę? No cóż, odpowiedź na to, jak i na wiele innych pytań, kryła się za żelaznym murem tak pilnie strzeżonej przezeń tajemnicy. Tym samym nie było sensu w ogóle o to pytać. A zatem uszeregujmy fakty. Wybuchowość Cecylii i brak zainteresowania ze strony ojca połączony z jego specyficznym folgowaniem wymyślnym życzeniom, rok za rokiem wbijały kolejne gwoździe w drewniane wieko trumny, w której w końcu pogrzebali swą wielką miłość.

*

Czara goryczy zdawała się przelewać długo i konsekwentnie. Tak jak przy każdym innym rozstaniu i tu nieosiągalnym zadaniem okazało się wychwycenie momentu, w którym nastąpił definitywny kres małżeńskiego pożycia. Kropla za kroplą gorzkie słowa spływały z ust matki, by zostać wychwyconymi przez obszarpane ucho ojca i zaginąć gdzieś w jego głowie. Niechęć Kazimierza do swarów działała na matkę niczym czerwona płachta na byka. Tamtego dnia, kiedy to zapadła obustronna decyzja dotycząca ich związku, wszystko zaczęło się od zignorowania kolejnego już wybuchu Cecylii. Kobieta z soczystą

pianą na ustach, z krwiożerczą czerwienią w morderczych oczach, raz za razem dostawała kolejnych ataków spazmatycznego gniewu, który telepał jej chudym ciałem we wszystkie strony. Tak jak mówiłem już wcześniej – powoli, acz systematycznie wspinała się po stromych schodach aktorskiego rzemiosła, by w końcu sięgnąć szczytu artyzmu. Ten wybuch, jak i wszystkie poprzednie nie był niczym innym, niż zwykłą, a raczej dość niezwykłą aktorską perełką. Cecylia bowiem nigdy nie potrafiła żyć normalnie; nieustanna gra, do której chwiejna psychika zmuszała zmęczone ciało, zmieniła ją ostatecznie w prawdziwą aktorkę. Cóż jednak z tego, że bezbłędnie potrafiła zagrać wszelkie skrajne uczucia, skoro nigdy nie zaznała w swej grze niezbędnego umiaru?

Biblioteka późną jesienią i zimą stała zwykle pusta. Nieszczelne okna nie zachęcały bowiem do literackiej kontemplacji. Szorstkie pluszowe fotele, czerwony i ochrowy, niemal żywcem wyjęte z saloniku Wiesławy, także nie przekonały mnie nigdy do siadania. Jedynym atutem tego zawałonego książkami pokoju był kominek. Rustykalny, z ozdobnym gzymsem i przyjemnym zapachem dębowego drewna unoszącym się dookoła. Tylko ojciec tu palił, zresztą tylko on tu przesiadywał. Reszty rodziny jakoś to miejsce nigdy nie pociągała. Co jednocześnie nie zmienia faktu, że czytać potrafiliśmy... Zagłębiony w fotelu, z wysoko podniesionymi rękoma, trzymając między długimi palcami wertowaną właśnie książkę, z plecami prostymi niczym struna, (bo jak to można się garbić?), mógł tak siedzieć całymi dniami.

*

Półek i regałów było naprawdę dużo. Pomieszczenie samo w sobie też było całkiem przestronne, jedna spora liczba mebli, zastawionych licznymi tytułami, ograniczała dość skutecznie pole manewru. Tak więc dwa fotele i jedna czerwona kanapa, a po za tym już tylko dębowe półki i sterty książek – Kazimierz zazwyczaj przeciskał się przez drzwi i z trudem przechodząc między fotelami, a kanapą, opadał w chwilę później na swoje ulubione, ochrowe siedzisko. Z paleniem także był spory problem. Ograniczenie wynikało nie tyle z braku niezbędnego miejsca do rozpalenia, co raczej z deficytu drewna. Cecylia, jako gospodyni domu stawiała mężowi dość wyraźne wytyczne – "Nie będziesz brudził w moim domu. Nie będziesz roznosił drewna po wszystkich pokojach. Zapomnij o kominku, tylko byś przed nim siedział i te swoje durne książki czytał". I mimo tego, że owe kwestie powtarzały się ze szwajcarską wręcz precyzją, za każdym razem, gdy mężczyzna przebąkiwał o rozpaleniu ognia, i tak robił swoje. Czy to chyłkiem za plecami śpiącej małżonki, czy to w czasie, gdy ta grała na pianinie albo pielęgnowała swoją różaną rabatę, Kazimierz z naręczem wyschniętego drewna nieustępliwie przekradał się ze składzika na tyłach pałacyku do biblioteczki w zachodnim jej skrzydle. A później, gdy szlak porozrzucanych wiórków i drzewnych opiłków zdradzał jego tajemnicę, w milczeniu przysłuchiwał się jak jego małżonka rozkręca się w swej furii i gniewie. Ostatecznie, po karczemnej awanturze, Cecylia zmuszała go do sprzątnięcia owych wiórowych znaków, bluzgając przy tym bez końca.

*

- Warto jest tego wysłuchiwać – powiedział mi kiedyś w sekrecie. – Tu jest tak przyjemnie ciepło i taki wspaniały zapach unosi się z kominka, a twoja matka trochę pokrzyczy i przejdzie jej w końcu. Płomień bardzo ułatwia czytanie, pozwala mi się skupić. A Kazimierz czytał dużo. Zagłębiony w fotelu, przekładał kolejne karty licznych powieści, wczytując się z pasją w ich treść. Nie sięgał jednak po wszystkie wydawane śmiecie, jak to miał w zwyczaju czynić Mieczysław. Gust mojego ojca był bardziej wysublimowany. Proza angielska i francuska to było coś za czym wprost przepadał. Nazwiska Dickensa, Artura Conana Doyle i innych wyspiarskich twórców najczęściej przyciągały jego uwagę.

*

Po cóż to jednak mówię? A dlatego mianowicie, że kłótnia tego dnia zaczęła się nie tylko od porozrzucanych wiórków zaścielających kilka dywanów, lecz także od Dickensa. Po drodze dotknęła jeszcze obszarpanego ucha i jakiejś wielkiej matczynej tajemnicy i tak się potoczyło, że w końcu ojciec

odpuścił. Lecz może po kolei.

Tym razem siedziała w salonie. Rozczesując blond pukle pozwalała, by pojedyncze włosy ze szczotki spływały wprost na wełniany dywan. Lubiała tę czynność praktykować właśnie w salonie, nie tylko z racji tego, że mogła tam bez skrępowania przeglądać się w licznych lustrach. Owe higieniczne zabiegi i raczej niehigieniczne po nich pozostałości denerwowały bowiem sprzątaczkę. Biedne kobiety, na kolanach i ze szklami powiększającymi w dłoniach, palcami wydłubywały owe resztki, którymi moja kochana matka tak sowsie obdarzała dywan przy każdym czesaniu. I taki był właśnie drugi powód jej uczucia dla reprezentacyjnego pomieszczenia.

*

Móc obserwować ludzkie emocje, zwłaszcza te negatywne. Tłumioną złość, nienawiść i gniew, a przy tym wiedzieć, że jest się głównym powodem ich powstania – Cecylia potrafiła delektować się cudzym nieszczęściem. Siadywała na sofie, z nogami opartymi o poduszki, z ręką wsuniętą pod głowę, (jakby wciąż podglądała Bonifację) i zerkiała, jak kobiety wyciągają jej aksamitne włosy, jak złorzeczą przy tym w duchu. Każdy taki seans, obserwowany przez matkę z pozycji ciekawskiego widza był dla niej lekcją powściągliwości i hamowanego temperamentu. I choć starała się na najróżniejsze sposoby wyprowadzić kobiety z równowagi, (Zostawiła tu pani jednego włosa! Ślepa pani jest, tam pod stolikiem! Proszę się schylić, za co pani płacimy!), sprzątaczkę umiały zachować stoicki spokój. Jaka szkoda, że nigdy nie skorzystała z ich umiejętności!

*

Kazimierz wrócił z miasta dzień wcześniej. Już od rana, ledwo co wstał, sięgnął po Dickensa. Akurat wtedy studiował „Opowieść wigilijną”, będącą niezaprzeczalnym liderem wśród jego literackich pozycji. Nie wiem, co go tak fascynowało w tym opowiadaniu – tego też nigdy mi nie zdradził – ważne jednak, że nie budząc matki przewrócił się na drugi bok i podparty ręką, czytał.

Do awantury doszło jeszcze przed obiadem. Cecylia rano spędziła w ogrodzie, podlewając róże i pielęgnując grządki – przy tych czynnościach nigdy jakoś nie wpadała w skrajności. W przypadku mojej matki prawda o kojącym wpływie roślin na ludzkie usposobienie sprawdzała się doskonale. Ten humor towarzysząc jej w trakcie ogrodowych prac mijał jednak szybko. Granitowy portal zamykając pałac od północy, trzeba było minąć każdorazowo, gdy wracało się z ogrodu. Za każdym też razem matka przechodząc przez owe kamienne przejście stawała się pochmurna i nabzdyczona. Tak jakby zimny granit wysysał z kuśtykającego ciała ostatnie pokłady dobrego nastroju.

*

W to przedpołudnie także wróciła zła. Możliwe, że donica z korytarza pękła, rozsadzona monstrualną wielkością korzenia, choć równie dobrze szare oczy matki mogły dostrzec w zakamarkach któregoś z pomieszczeń jakąś mikroskopijną pajęczynę utkaną morderczym wysiłkiem pracowitego pająka – powód naprawdę nie grał roli. Każda najmniejsza rzecz, zauważony przez nią, najdrobniejszy nawet mankament wystroju, albo też fraszka niepasująca do potrzeb estetyki – wszystko mogło być tą drobną zapałką rozniecającą pożar. Zasiadła na kanapie w salonie. Akcesoria kosmetyczne, a mianowicie starą szczotkę z inkrustowaną rączką i puzderko wypełnione różem położyła na wełnianej kapie spływającej wypukłościami siedziska ku dywanowi. Zanim jednak zabrała się do rozczesywania lśniących blond pukli, nieco pogadała z samą sobą. Owa wymiana zdań z własnym ego była ledwie przedsmakiem prawdziwego występu, którym Cecylia raczyła nas z każdym mijającym rokiem coraz częściej. Poszeptowała, pooglądała się na boki, a w chwilę później, kiedy lustro w złożonych ramach wskazały jednoznacznie, że w przestronnym salonie nie ma nikogo prócz niej samej, zabrała się za czesanie. Lśniące powierzchnie zwierciadeł nie powiedziały jej jednak prawdy. I ja tam byłem, choć matka o tym nie wiedziała.

*

Kazimierz miał swego rodzaju szczęście. Przynajmniej do chwili, kiedy to matka roześlona brakiem odpowiedzi na nawoływania, nie wparowała do biblioteki. Do tego jednak czasu zdołał przenieść kilka szczap drewna ze składziku, napalić w kominku i zasiąść na swym ochrowym fotelu z książką w jednej ręce i filiżanką kawy w drugiej, którą co rusz odkładał na mały dębowy stolik, przyniesiony ze sobą z sypialni. Czytał Dickensa, tak jak lubił w ciszy, spokoju i z zapachem dębowego drewna uderzającym w nozdrza, lecz kres jego przyjemności był już bliski.

Wystarczająca ilość włosów zaścieliła gruby dywan, a matkę chyba znudził już nieustannie powtarzany ruch ręki trzymającej szczotkę. Odłożyła bowiem przedmiot na pstrokatą kapę i zabrała się za różowienie policzków. Prócz pudrera przyniosła ze sobą mały pędzelek z grubym wiechciem miękkiego włosia. Owe włoski zamoczyła w matowym pudrze barwy dojrzałej brzoskwini i poczęła gładzić kości policzkowe, nos i okolice dekoltu, nadając skórze efekt muśnięcia słońcem. Niestety. Problem dotyczący jej aktorskiego talentu przenosił się błyskawicznie na inne aspekty codziennego życia. Brak umiaru przy makijażu stał się wyraźniejszy w chwili, kiedy to zastąpiła dojrzałą brzoskwinię pudrem koloru dojrzałej wiśni. Nagle muśnięta promieniami skóra pociemniała, a uróżowione policzki spąsowiały. Matka jeszcze chwilę ciągnęła pielęgnację szyi i podbródka, tak by skóra na tych częściach jej ciała dorównała barwie gorejącej czerwienią twarzy. I w momencie, gdy pierwsze drobne zmarszczki w okolicach nosa i ust stały się niewidoczne, odrzuciła kosmetyczny asortyment i wstała z kanapy.

*

- Kazimierzu? – zawołała władczym głosem, poprawiając wygniecioną czarną spódnicę, przylegającą do szczupłego ciała. Piersi, skryte pod jedwabną bluzką śnieżnej bieli były kształtne i symetryczne, a nabrzmiałe sutki wystawały spod delikatnego materiału – Cecylia, niczym moja teatralna kochanka także nie uznawała jarzma biustonoszu. – Kazimierzu! – powtórzyła swą kwestię i pokuśtykała ku drzwiom prowadzącym do zachodniej części pałacu. Po drodze minęła zakłopotane służące, które zza osłony ozdobnego filaru przypatrywały się zmuśnionemu procesowi czesania.

- Niech panie tam posprzątają. Jakież to bałagan zostawiono w salonie, czyż ja muszę mieszkać z takimi brudasami? – powiedziała z teatralnym oburzeniem. Zrezygnowane kobiety dygnęły szybko i jedna pobięła do salonu, a druga wróciła po niezbędne do sprzątania akcesoria. Dumna z siebie matka prychnęła pogardliwie niczym młoda kotka i najszybciej jak tylko potrafiła pomknęła ku zamkniętym drzwiom biblioteki. Coś dziwnego się z nią wtedy stało! Zmianę w zachowaniu dostrzegłem już na korytarzu. Idąc długim szpalerem licznych drzwi i małych ściennych lamp, poczęła zamasyżować ruszać biodrami, w czym uszkodzona noga jej tylko pomagała i nerwowo kręcić głowę we wszystkie strony. Do tej wyzywającej dość pozy nie pasowały jednak ręce matki: rozczapierzyła je na plecach, starając się tym samym zakryć jak największą powierzchnię ciała skrytego pod prześwitującym materiałem.

*

Choć nie w jej stylu było tak łatwo rezygnować z podglądania pracujących kobiet, miała swoje powody, dla których szła długim korytarzem. Była zła na ojca. Nie tylko nie odpowiadał na jej wołania, nie przyszedł uniżenie pytać o jej samopoczucie, albo o potrzeby, ale na dodatek zamknął się w tej klaustrofobicznej biblioteczce i czytał tą swoją nędzną książkę. Cecylia wyczuła także dym, ten zapach unoszący się z palonych szczap, który zdążył już przeniknąć przez niewielką szparę pod drzwiami, a widok jeszcze kilku malutkich opiłków drewna tym bardziej podsycił jej nienawiść. Jednak to wcale nie gniew na ojca zmuszał ją do coraz szybszego marszu. Musiała mianowicie zauważyć to spojrzenie. Nieustępliwy wzrok wbity w jej plecy, przewiercające na wskroś zwiewną białą bluzkę. Matka wiedziała, że ją śledzę, że wciąż pamiętam wczorajszą noc. Dlatego zakrywała się ramionami i na ile tylko pozwoliła jej chora noga, biegła.

*

Strach i gniew wymieszały się w dziwacznych proporcjach w głowie matki. Wbiegając do biblioteki zaczęła bowiem wywijać rękoma na boki, zalała się łzami i poczęła prychać na ojca jednocześnie.

Kazimierz podniósł głowę znad książki, zerknął jak małżonka przeciska się między półką, a czerwonym fotelem i jak przy tym krzyczy, a w chwilę później znów zagłębił się w fabułę „Opowieści wigilijnej”. Nie wątpię, że Dickens pisał w sposób frapujący i niezwykle sugestywny. Jak jednak można było skupić się nad kolejnymi stronicami w harmidrze robionym przez matkę?

- Kazimierzu, cholera jasna, ile razy zabraniałam ci przynosić drwa do biblioteczki? Dlaczego ty mnie nigdy nie słuchasz! Przecież wyraźnie mówiłam, że nie wolno tego robić. Później ja muszę wszystko sprzątać, a wiesz jak łatwo korowina wdepcze się w dywany? Nie, bo ciebie to nic nie obchodzi! Ja ciebie też nie obchodzę, nigdy mnie nie kochałeś... Tyle roboty, tyle ciężkiej pracy jest na moich barkach, a ty sobie siedzisz z książką i czytasz jakieś głupstwa. Kazimierzu, mówię do ciebie! – Cecylia wyszarpnęła Opowieść wigilijną z rąk małżonki i zamachnąwszy się, cisnęła opowiadaniem w płomienie. Mężczyzna, dotąd zaczytany i skupiony zaszczycił ją swym bacznym spojrzeniem. Podniósł głowę i zerknął w jej oczy, by równie szybko odwrócić twarz ku jednej z półek.

*

- Mmmm – zamruczał cicho i zamilkł na dobre wpatrzony w górny szereg książek na pobliskim regale.

- Nigdy mnie nie kochałeś. Byłam dla ciebie tylko zabawką, laleczką... – krokodyl łyż poczęły ciurkiem płynąć po szkarłatnych policzkach. Cecylia, której płacz już od dzieciństwa nabrał niesamowitych cech, zwykle rozkręcała się niesamowicie szybko. Czy to jednak przez ojcowską niechęć, czy też może przez moją obecność, (stałam za drzwiami, wtulony w ścianę i choć matka mnie nie widziała, dobrze wiedziała, że tam jestem), jakoś nie potrafiła zatracić się w roli krzywdzonej żony. łyż rozpaczy płynęły nieprzerwanie, a konwulsyjnie drżąca postać co rusz opadała na kanapę, to znów wznosiła się nad pluszowe powierzchnię, by skamleć swe bóle - to było do matki podobne. Lecz nerwowe spojrzenia przez plecy, drżenie w głosie, niebędące bynajmniej zamierzonym i końcowe zemdleńie wprost w ramiona ojca – jakoś nie należały do tradycji.

- Cecylia, Cecylia – zawołał Kazimierz, cucąc małżonkę i układając ją na czerwonej kanapie. – Obudź się, kochanie, proszę! – Zdziwiła mnie służalczość w jego głosie. Musiał się przestraszyć spontanicznego zachowania połowicy, bowiem niebawem szybko zerwał się ze swego siedziska i z troską ułożył omdlałe ciało, ściągając przy tym z purpurowej facjaty pasma sklejonnych włosów – Cecylia? Kochanie ...

- Kazi ... mierz ... - wyjąkała matka, mrużąc oczy.

- Tak, kochanie?

- Kazi ... mierz.

- Jestem przy tobie. Powiedz w czym mam ci pomóc? – pasmo ciemnych włosów ojca musnęło policzek matki.

- Włosy – powiedziała nachmurzona, po czym na nowo wróciła do swego agonalnego tonu. – Twoje ... twoje włosy, Kazi ... mierz.

Ojciec poprawił je szybko, zakładając niesforne pasemko za fałd zniekształconej małżowiny. Matka musiała poczuć się lepiej, gdyż w następnej chwili zerwała się na równe nogi i z krzykiem odskoczyła od męża.

- Twoje ucho, twoje ucho – załkała przeraźliwie.

- O co chodzi?

- Specjalnie to robisz, prawda? – matka ozdrowiała w trybie ekspresowym. Niedawne omdlenie zastąpiła niezdarnym przeciskaniem się między meblami i ostentacyjnym wyrzucaniem rąk do góry. – Chcesz mnie przyprawić o ból brzucha, o wymioty, a może o biegunkę? Ty potworze! Przecież wiesz, jak nienawidzę twojego ucha, tej szpetoty, z którą obnosisz się niczym z największym skarbem. Haha... - zaśmiała się w głos, a mnie przeszły ciarki. Ojciec opadł na kanapę, spojrzał na żonę chaotycznie biegającą po ciasnej bibliotece, po czym nieprzytomny wzrok utkwiał w płomieniach trawiących dzieło Dickensa. – Dla ciebie zostawiłam klasztor i wszystkie moje siostry i Boga, a ty mnie tak traktujesz. Każesz mi sprzątać i zmuszasz do oglądania tego okropnego ucha. Kto ci na to pozwolił? Kto dał ci

zgode na to, by się na mnie tak wyżywać? ... Co ja Bogu zrobiłam, że mnie tak karze?

*

Cecylia musiała zapomnieć o tym, że jej pamiętliwy syn podgląda kłótnie rodziców z perspektywy szpary między futryną, a drzwiami. Bez zbędnych przygotowań, bez poświęcania czasu na długie próby, rozwinęła bowiem przed Kazimierzem wachlarz swego aktorskiego geniuszu, którego tym razem nie zagłuszały już drobne potknięcia wynikające ze zdenerwowania. Przybierała maski różnych postaci z niesamowitą wręcz sprawnością. Utyskiwania mieszały się z żałami żałobników, a drobna gestykulacja z nagłymi wybuchami. Kazimierz – zdaniem matki to jednoosobowe audytorium, przed którym występowała z tak wielką ochotą, zatracił się w swych myślach. Mętne oczy i lekko rozwarłe usta wskazywały jednoznacznie, że żadna, nawet największa kakofonia Cecylii nie jest w stanie wyprowadzić go z sideł wyobraźni. Możliwe, że to sentymentalne wspomnienia młodej małżonki igrały w jego głowie. Wtedy była chyba jeszcze zdrowa, chyba nie pozwalała tak często zwodzić się chwiejnej psychice... może naprawdę się kochali?

*

Każdy taki występ kosztował Cecylię mnóstwo zdrowia. Nie chodzi jedynie o jej krzyki i wyzwiska, gdyż spory z małżonkiem męczyły ją również fizycznie – takiej gimnastyki, jaką czyniła matka podczas swego ukochanego zajęcia, mógł pozazdrościć każdy sportowiec. Wbijiała długie paznokcie w szary materiał ojcowskiego swetra, tarmosiła go za włosy, to znów zrywała zeń ubrania, tłumacząc się, że to ona zarobiła na jego strój – a wszystko tylko po to, by wyciągnąć męża z zawieszenia, w jakie wprowadzała go kłótnia.

*

- Matka trochę pokrzyczy i szybko jej przejdzie! – powiedział mi kiedyś, lecz te słowa nie były aktualne tamtego dnia. Z minuty na minutę było coraz gorzej. Coraz głębsze brała wdechy, coraz bardziej trzęsły jej się ręce, a drobna szyja niemal pękała rozsadzana ogromem nabrzmiałych żył. I jeszcze to zdanie, niczym werset z litanii, powtarzana w kółko fraza – On nie jest twój! Nie jest! – Do jakiej też rzeczy lub osoby Cecylia podważała ojcowskie prawa – jakoś nie miałem okazji odkryć tej tajemnicy. Ojciec w końcu nie wytrzymał. Spokojnym, lecz stanowczym ruchem odsunął od siebie rozkrzyczaną ukochaną. Podniósł się z kanapy, zerknął na kupkę popiołu – szczątki ulubionej lektury i nie bacząc więcej na nakazy żony, wyszedł z biblioteki, by więcej do niej nie wrócić. Szybko też odkrył moją kryjówkę. Minawszy futrynę, odwrócił się i odsunął drzwi, za którymi stałem. Musiał wiedzieć, że ich podglądam. Objął mnie spojrzeniem winowajcy, poprawił włosy zakładając pasmo za poszarpane ucho, a w chwilę później uśmiechnął się w taki sposób, jakby właśnie zaczął czytać nową książkę, jakby ta ostatnia – nudna i diabelnie monotonna nareszcie się skończyła, jakby w końcu zatrzęsnał ciężkie deski cholernie opasłego tomu. A później położył rękę na moich plecach, przytulił mnie na krótko i szpalerem tych samych drzwi i małych lampek, którym podążała Cecylia, podążyliśmy i my.

*

Dom napelnił pusty śmiech; wrzaskliwy rechot samotnej kobiety z ciałem w nieładzie rozrzuconym między czerwoną kanapę, a ochrowe siedzisko. Brak samotności, na który tak często żaliła się Kazimierzowi miał w końcu przestać jej doskwierać. Żądana prośba stała się bowiem rzeczywistością – zostawiliśmy Cecylię w spokoju, tak jak sobie tego życzyła już wielokrotnie. Nasza wyprowadzka dała jej zapas czasu. Odpowiednią ilość wolnych godzin na to, by bez końca pieścić grządkę, by niezliczoną ilość razy dziennie czesać blond włosy, i w końcu także i po to, by w ciszy zatęchłej sypialni móc rozpylić się nad artystycznym geniuszem, w te rzadkie przerwy między niekończącymi się seansami masturbacji – jedynym lekarstwem mogącym wyciągnąć ją z sideł chorej psychiki. Tak, na ten proces potrafiła poświęcić wiele godzin, lecz mnie to wcale nie dziwi. Onanizm był w końcu najważniejszym substytutem jej duszy, procesem mogącym wycisnąć z kamiennego serca niespotykane dotąd pokłady uczuć, przyjemnością, w którą wprowadzała kolejnych członków swej rodziny... I wtedy właśnie, w te

niezapomniane chwile wspólnego szczytowania, stawiała się kochającą matką. ... I tylko wtedy!

Kamienica ojca stała się moim następnym przyczółkiem, a ja jej nowym lokatorem.

2. Niespodziewana wizyta.

Modlitwa bywa strasznie irytującym zajęciem. Trzeba klękać, składać ręce w dziękczynnym geście i do tego klepać jeszcze katolicką formułkę, która zawsze jest nudna i wlecze się niemiłosiernie długo. Matka lubowała się w takim katowaniu ludzi. Codziennie wieczorem, nim zdołałem uciec do swojego pokoju, ciągnęła mnie do niewielkiej kapliczki urządzonej przy granitowym portalu. Tam, na diabelnie twardych klęcznikach klękaliśmy wspólnie i wspólnie także zmawialiśmy kolejne różańce, brewiarze, litanie i cokolwiek to jeszcze wpadło matce do głowy. Modliliśmy... a raczej modliła się niczym rasowa zakonnica, wystarczyłoby wcisnąć ją w czarną sutannę, na głowę nałożyć biały kornet, a długi sznur różańca przytwierdzić do pasa, by i zewnętrznie upodobnić ją do jednej z tych smutnych sióstr. Tylko po co czynić aż tyle zachodu dla kobiety, która sama opuściła zakonną przystań?

*

Wspólne pacierze z Cecylią nie weszły mi nigdy w krew. Najpierw, gdy byłem całkiem mały, starałem się słuchać jej modlitw, nawet z dość zadowalającym skutkiem. Monotonna dykcja matki i w kółko powtarzane frazy szybko mnie jednak zniechęciły. Małeńka główka opadła na prawe ramię, by w chwilę później pociągnąć za sobą resztę zmęczonego ciała. Tak było na początku. Leżałem na zimnej posadzce, z nogami przerzuconymi przez klęcznik i z głową opartą o dywanik okrywający ołtarzyk, a matka niewzruszenie ciągnęła swe bogobojne monologi. Później, kiedy opanowałem już ataki znużenia w takim stopniu, by im nie ulegać, począłem lustrować otoczenie. Godzinami przyglądałem się niewielkim pajęczkom, które za postacią ukrzyżowanego Chrystusa wiły swoje lepkie sieci, to znów zerkąłem na świeże kwiaty wsadzone przez matkę do wazonu lub na zachodzące słońce przeświecające przez niewielką boczną okiennicę. I na to nie raczyła zwrócić uwagi. W trakcie modlitwy nic nie mogło zniszczyć jej świętego skupienia, no może prawie nic. Raz podołałem temu wyzwaniu. Cecylia przerwała dla mnie swoje Ojcze Nasz, morderczym wzrokiem spojrzała na mnie i wciąż szepcząc pod nosem słowa modlitwy: „I odpuść nasze winy, jak i my odpuszczamy naszym winowajcom”, przystąpiła do prania mojego tyłka i chowania wyciągniętego peniska. Kapliczka, jak miałem okazję przekonać się na własnej skórze, nie jest odpowiednim miejscem do folgowania masturbacyjnym zwyczajom. Cecylia tolerowała takie zachowania jedynie w swojej sypialni, i wtedy tylko, gdy sama miała na to ochotę. W każdy inny dzień musiałem trzymać swe genitalia na wodzy, jak to jednak wytłumaczyć ośmioletniemu chłopcu, którego matka otaczała uczuciem jedynie wtedy, gdy wspólnie doprowadzali się do orgazmu?

*

Nim jednak przystąpiliśmy do drugiej części zakonnej historii, spotkałem w drzwiach ojcowskiej kamienicy osobę, której najmniej mógłbym się tam spodziewać. Stała ubrana w lekką garsonkę, z niewysokimi butami na nogach i z czerwoną kokardą w blond włosach. Wiatr wznosił jej pukle; chude ramiona, by ogrzać szczupłą postać splotły się na piersiach, a brzoskwiniowe policzki i różowe usta

zadrżały na mój widok.

- Syneczku... – Usłyszałem, w chwilę po tym jak minąwszy róg ulicy, zbliżyłem się do domu. – Tak bardzo tęskniłam... – Nie zważając na kulawą nogę zbiegła po schodach i rzuciła mi się na szyję. Całując po zmrożonej twarzy i zimnych dłoniach szczebiotała bez końca - Zrobiłam razem z Zosią pyszną kolację. Twoją ulubioną baraninę i tłuczone ziemniaki. Chciałyśmy ci zrobić niespodziankę. Zosia powiedziała, że gdzieś wyszedłeś, więc pomyślałam, że na pewno się ucieszysz. No choć już szybciej, na dworze jest tak zimno!

*

Cecylia z manierą małej dziewczynki ciągnęła mnie za rękaw płaszcza, z trudem łapiąc oddech między kolejnymi salwami śmiechu. Żartowała i śmiała się niczym uczennica, której jedyną troską jest przyniesienie wysokiej cenzurki ze szkoły. – A może ona mnie kocha? – pomyślałem przy kolacji. Nałożyła na talerz płat baraniego mięsa, dodała łyżkę ziemniaków i siadając zaraz obok, podparła się dłońmi, by móc mnie obserwować.

- Nic nie mówisz, skarbie – dodała w kilka minut później, gdy wciąż dziobałem widelcem połówkę baraniny. – Jesteś chory?

- Mama tego nie lubi!

- Czego nie lubię?

- Rozmowy przy jedzeniu.

- Bzdura mój syneczku!... Co u ciebie słyhać? Opowiadaj mi wszystko, po kolei, tak dawno cię nie widziałam.

- Tata wyjechał do Francji. Miesiąc temu.

- Wiem.

- I...

- A jak w szkole?

- Uczęszczam.

- A koledzy, mili?

- Nie narzekam.

- ...To cudownie. – Kiwnęła głową z aprobatą.

- Mmm... Mama, nie je?

- Nie, przecież wiesz, że nigdy nie jadam kolacji.

- Możliwe – dodałem, sącząc wino.

Pani Zosia krzątająca się po kuchni, co róż przystawiała i strzygła uszami, by usłyszeć jak najwięcej z naszej ubogiej w słowa rozmowy. I chociaż kwestii padało tu jak na lekarstwo, niania umiała wyczytać z nich znacznie więcej niż tylko monosylabiczne wypowiedzi.

- Jestem zmęczona. Jechaliśmy kilka godzin. Dlaczego musisz mieszkać tak daleko ode mnie, skarbie?

- Hmm... - wzruszyłem ramionami. Cecylia z lubością głaskała rękaw mojego swetra. - Tata wyjechał miesiąc temu.

- Wiem... dlatego przyjechałam.

- Czy?

- Wątpię! Nie potrzebuję tego – Matka zmarkotniała na chwilę.

Wpatrzony w swój posiłek, który jak na złość nie chciał zniknąć z talerza i tym samym uwolnić mnie od przykrego obowiązku kontynuacji rozmowy, czekałem na kolejne refleksje. W duchu miałem nadzieję, że nie jest to pułapka, że Cecylia nie stara się wciągnąć mnie w sidła złowieszczych słów i przesłodzonych gestów, by w finale rozmowy wymierzyć mi bolesne manto. Gdybym tylko chciał, mógłbym w takim wypadku sprawić jej znacznie większy fizyczny ból, gdybym tylko chciał ... i gdybym tylko potrafił...

- Kazimierz sam zdecydował o tym i ja ... nie chciałam stawać na drodze jego szczęściu. Przecież byłam dobrą żoną! Zawsze wiedziałam, że to furiat. Ale żeby tak nagle, niespodziewanie i to jeszcze z moim

synkiem... - Dotknęła mojego policzka – Jesteś tylko mój, tylko mój. Już mi nikt ciebie nie odbierze ...

*

Znacie ten moment, gdy w skwarny letni poranek bezbronna mucha wlatuje nad bezpieczny baldachim ściółki nawozu, by będąc gnana nieustannym głodem odszukać jakiś żer? I w nadziei, że pobliski kwiatostan dysponuje odpowiednią jego ilością, zbliżyć się do niego nieuchronnie? Lecz niepostrzeżone żądze nie mogą być dobrym doradcą! Czy znacie ten moment, w którym mucha pędzona ślepą nadzieją znalezienia stawy wpada nagle w śliskie sploty pajęczej sieci? Ja wielokrotnie zwodzony i oszukiwany, wciąż nie potrafię przewidzieć lokalizacji owych pajęczyn. Wiem jednak, jak groźne mogą być skutki takich incydentów dla obu zaangażowanych stron. W końcu nie tylko mucha jest w niebezpieczeństwie – owłosione cielsko pajaka może paść rażone śmiertelnym wirusem równie szybko.

*

W naszym związku zawsze ja pełniłem rolę nieporadnego owada. Matka, chuda kuternoga z przekonywującą nutą żalości w głosie, niezmiennie przeistaczała się w ogromną pajęczycę. Kiedy tylko tego zapragnęła, rozwieszała śliską pajęczynę, a ja niczym osesek raz za razem wpadałem w przepastną sieć, by w końcu wylądować w jej łóżku lub wpuścić ją do swojego. Najczęściej brała mnie na litość lub na wyrzuty sumienia. I choć doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, że skargi, żale i smutki – wszystko to jest efektem przemyślanego wcześniej planu - nigdy nie nauczyłem się jej odmawiać. Było jeszcze coś; jedna istotna sprawa, który ostatecznie przekonywał mnie do wślizgiwania się do matczynej łóżki, do zgody na to, by chore uda opłatały patykowate nóżki, a jej ręce wędrowały ku moim genitaliom. Cecylia w trakcie onanistycznego spełnienia, szeptała – większość z tego, co dało się wychwycić wśród morza jęków i tłumionych krzyków była niezrozumiała. Trafiały się jednak perełki – pewne słowa, a czasem nawet całe zdania – ich rangi i znaczenia nie można było przecenić i to one mówiły mi o matce znacznie więcej niż wszystkie niedokończone opowieści, którymi kobieta budziła w dzieciństwie moją ciekawość.

*

Dwa uśmiechy, trzy spojrzenia i kilka słów po tym jak odłożyłem sztucę, a ona była już rozebrana. Ściągała garsonkę w biegu, na korytarzu, na schodach. Fason zakietu musiał uwierać kształtne piersi, gdyż uwolniony zeń biust począł unosić się gwałtowniej, a na różowej skórze zauważyłem ciemnoczerwone bruzdy po fiszbinach. Matka szła szybko i gdyby nie balustrada, z pewnością potoczyłaby się w dół po stromych schodach. Staralem się ją jakoś spowolnić do czasu, aż nie zrzuciła z siebie ostatniego elementu stroju, jedwabnych majtek. Wtedy, gdy całkiem naga szła przede mną z lubością kręcąc okrągłymi pośladkami, a dłońmi namiętnie roztrzepując złote pasma, wtedy przyspieszyłem. Usłyszawszy odgłos czyichś kroków otworzyłem drzwi i siłą wepchnąłem matkę w ciemny przestwór nieznanego pomieszczenia. Jej ciuchy, które z takim namaszczeniem zbierałem przez ostatnie dwa piętra, ułożyłem przy drzwiach, a dłonią począłem wyszukiwać źródła światła. Cecylia była jednak szybsza. Nie wiem jak można zobaczyć cokolwiek w takich ciemnościach, lecz dla niej ów stan nie nastroczał jakichś wielkich trudności. Pchnęła mnie na łóżko, dobrze wiedząc, gdzie ów mebel się znajduje, a później, zerwawszy wierzchnie odzienie zabrała się do rozrywania guzików odgradzających jej ciepłe usta od mojej męskości. I ... wcale nie skończyło się na masturbacyjnym seansie. Wyglodniała Cecylia nie miała ochoty poprzestać na jednym tylko orgazmie. Nie leżeliśmy, jak zawsze dotąd, obok siebie: ja w całkowitym bezruchu, a ona z jedną dłonią ściskającą penisa, a drugą głęboko wsuniętą poniżej swego wzgórek łonowego. Tym razem pozwoliła mi na więcej. Tym razem dała przykaz czerwonemu fallusowi, by w swej porywczoci i gwałtowności wszedł głęboko w nią, rozrywając dziurę, przez którą czternaście lat wcześniej przeszła główka niemowlęcia - moja własna głowa. Krzyczała, tarmosiła swoje piersi, napierała na moje krocze, a ja niczym paralytyk leżałem na zapadniętym łóżku i pozwalałem, by penis kierowany przez sprawne uda matki dokonywał tak głębokiej penetracji, na jaką tylko miała ochotę. A później, kiedy to nadchodzący wytrysk począł rozsadać kolejne centymetry członka uwolniła mnie od swej filigranowej wagi i pozostając opartą na kosmatych udach przyglądała się

jak biała sperma wystrzeliwuje z niego wprost na pościel i jej twarz.

*

Matka pierwszy raz doprowadziła do tego typu inicjacji. Niegroźna wspólna masturbacja była niczym w porównaniu z tym, co zaczęło się owej feralnej nocy. Od tamtego bowiem czasu Cecylia nie dawała mi zapomnieć o sobie. I chociaż nienawidziłem jej z każdą kolejną nocą coraz bardziej, młodzieńcza chuć zamazywała wszelkie matczyne winy i wkładała jej obraz w nieskazitelne ramy. Wychudzona kuternoga umiała sobie zjednywać wielbicieli, a jej uda osiągnęły w tej dziedzinie prawdziwą perfekcję ...

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Bajdurzysta, dodano 15.09.2009 10:22

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.